

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

11

– Z dochodów?
– Tak, mój stary, kupimy sobie domek z ogródkiem, zamkniemy tę budę, a ty podasz się do dymisy.

– Co ty mówisz?
– Zobaczysz, jak będziemy szczęśliwi. Nie będziemy już pracować i mordować się dla drugich i wszyscy nam się nisko kłaniać będą.

Bruchon słuchał, pił i otwierał szeroko oczy, a twarz jego przybierała wyraz błogiego zadowolenia.

Nigdy się nie czuł tak szczęśliwym! Być właścicielem domu z ogródkiem, było marzeniem całego jego życia. Ale to marzenie obecne nie trwało długo.

Kiedy wybiła godzina piąta, oprzytomniał zupełnie i zerwał się z krzesła.

– Wszystko to ładne – rzekł – ale nie mogę się spóźnić. Jestem jeszcze w służbie, a służba, to święta rzecz!

– Tak, tak, służba to rzecz święta! – przytaknęła pani Bruchon.

Woźny czuł jakąś ociężałość i lekki zawrót głowy, poza tem jednak nogi nie odmawiały mu jeszcze posłuszeństwa.

– Hm! Hm! – mruknął – wypilem może kieliszek za wiele, ale ta twoja kielbasa była dyabelnie słona, stara!

Pani Bruchon roześmiała się głośno.

– Eh! To nic! – odparła – Przejdzie ci to jak wyjdiesz na świeże powietrze, a zresztą twoja torba niewiele ci zaważy. No, idź już, niedługo się zobaczymy.

– Jakto? – szepnął Bruchon zdziwiony.

– Mam coś do załatwienia na ulicy Coquilliere, będę tam koło godziny siódmej, a kiedy powrócisz do ministerium, pójde z tobą, a potem powrócimy razem do Belleville.

Bruchon już nic na to nie odpowiedział, miał tak mało czasu, że zaledwie zdążył porwać kapelusz i wybieść.

Znalazłszy się na ulicy, doznał silniejszego zawrotu głowy, ale opanował się wkrótce i już równym krokiem szedł naprzód.

Dochodziła godzina dziewiąta, kiedy wchodził w ulicę Royale.

Aż do tej chwili nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Bruchon odebrał torbę z depeszami tak, jak zazwyczaj i udał się na ulicę Rousseau.

Koło godziny siódmej wóz pocztowy, przynoszący depesze z Marsylii, wjechał na obszerny podwórzec. Woźni pocztowi wydobyli z niego worki i wynieśli na pierwsze piętro gmachu, gdzie urzędnicy zajęli się natychmiast segregowaniem papierów. Listonosze i woźni oczekiwali już na korytarzach i każdy z nich po pewnym czasie otrzymał swoją część przeznaczoną.

Bruchon umieścił swoją w torbie, zamknął na klucz i klucz ten pozostał w administracji, poczem spokojnym krokiem opuścił gmach pocztowy.

Ociężałość, którą odczuwał po wyjściu z domu, opuściła go zupełnie, ale męczyło go teraz nieznośne pragnienie.

– Moja stara za silnie przyparowała kapustę – myślał, idąc – czuję piekielny ogień na wewnętrznościach. Gdybym tak poszedł na szklankę wina do kupca na rogu?

Ale prędko tę myśl nęcącą odrzucił od siebie. Podobna rzecz była w służbie ostro zabroniona i lękał się być podpatrzonym.

– Odniosę torbę, a potem pójde. – pocieszył się – W ten sposób wszystko będzie w porządku.

Ale Bruchon nie liczył się z okolicznością, która mogła się nadarzyć i zniszczyć jego chwalebne postanowienie. Przedstawiła się ona w osobie mamy Bruchon.

Zaledwie wszedł w ulicę Coquilliere, kiedy posłyszał, że go wołano. Odwrócił się zdziwiony i poznał żonę. Szła ku niemu rozpromieniona, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Gdzie idziesz, Bruchon? – zapytała, biorąc go pod ramię.

– Wiesz przecież dobrze, dokąd idę. – odpowiedział.

– Gdybyś wiedział, co mi się przytrafiło!

– Co takiego?

– Mamy majątek w ręce.

– Cóż to za głupstwa? – mruknął Bruchon, ze zdziwieniem patrząc na żonę.

– Zadne głupstwa, tylko prawda. – odparła z przekonaniem stara – Jutro o tej samej godzinie będziemy bogatymi ludźmi. Popatrz tylko!

Otworzyła ręczną forebkę, chcąc mu coś pokazać, ale rozmyśliła się widocznie, bo spojrzała podejrzliwie wokoło siebie i rzekła:

– Nie, nie tutaj! Trzeba być ostrożnym. Chodź.

– Gdzie?

– Do tego handlu.

– Wiesz, że to nie jest dozwolone. Jestem w służbie.

– Niedozwolone? Co z tego? Niechby ci tylko ośmielili się robić wyrzuty! Zobaczysz, jak prędko rzuciłabym im w oczy twoją dymisyę! Zresztą to tylko na pięć minut. Nikt nie spostrzeże opóźnienia. Chcę ci opowiedzieć to wszystko, ale nie na ulicy, gdzie nas wszyscy podsłyszczą mogą.

– A jak nas zobaczą? – bronił się słabo Bruchon na myśl o dobrej szklance wina.

– Głupi jesteś. Kto cię ma zobaczyć? A czy inni tak nie robią może? No, chodź. Wejdziemy tylko i pokażę ci to, co mam przy sobie, a przy sposobności napijesz się czego. Ta kapusta, zdaje się, była za słona!

– Oh! To prawda!

– A widzisz. Chodź prędko i nie traćmy czasu na próżne rozmowy.

Pociągnęła go energicznie za ramię i w kilka sekund później siedzieli już obok siebie w małym pokoiku winiarni. Stara Bruchon kazała podać prędko butelkę wina, a kiedy pozostali sami, przysunęła się jeszcze bliżej męża i zapytała z uśmiechem:

– No chcesz widzieć teraz co tu mam w ręce?

– Pokaż! – odparł Bruchon, którego pierwsza szklanka rozbroiła już zupełnie.

– To tylko drobiazg. – rzekła, wysypując na stół kilkanaście sztuk złota – Jutro mieć będę dziesięć razy tyle.

– Ale skąd ty to masz? – zapytał Bruchon z nagłym błyskiem w oczach.

– To cała historia!

– Opowiedz mi prędko!

– Napij się wpięrw, stary!

Bruchon nie dał się prosić. A kiedy kieliszki zostały wypróżnione, matka Bruchon napełniła je znowu.

– Widzisz, mój kochany – zaczęła – ja nie jestem głupsza od innych, a w naszym fachu trzeba mieć głowę i oczy otwarte. Poznałam młodą kobietę, która jest bardzo piękną i tak czarującą, że wzbudziła szaloną miłość w człowieku już podeszłego wieku.

– No i cóż z tego?

– A więc jest młoda, pełna nadziei na przyszłość, a stary ją już nudzić zaczyna. Ale napijmy się przedtem.

I znowu wypróżnili szklanki.

Ale tym razem Bruchon ujął ją dziwnie drżącą ręką, a oczy jego pokryły się nagle mgłą ciężką.

Wypił jednakże, ale w tej chwili coś anormalnego dzieło się z nim zaczęło. Długie drżenie przebiegło jego ciałem i grube krople potu wystąpiły mu na czoło. Konwulsyjnym ruchem pochwycił brzeg stołu, jak gdyby miał upaść.

– Cóż ci się stało? – zapytała stara Bruchon.

– Nic! To nic! – wyszeptał z trudem – Tylko coś mi oczy przysłoniło i w głowie mi się kręci. Muszę wyjść na powietrze, może to przejdzie.

Ale nie mógł się już wyprostować, nogi ugięły się pod nim. Kilka razy odechnął głęboko i oparł ciężko głowę na stole.

– Duszę się! Powietrza, ratuj mnie! – zakończył.

– Uspokój się, to przejdzie! – pocieszała go żona, przyjmując to wydarzenie zupełnie spokojnie.

– Gdzie moja torba?

– Jest tu, przy tobie!

– Zanieść ją muszę... mój Boże... co ja zrobiłem... co się ze mną dzieje...

– Ah! Nie zajmuj się teraz tą torbą! – zawołała matka Bruchon – Zanieś się ją... ja sama...

Mówiąc to, uczyniła ruch, jak gdyby torbę

ująć chciała, ale Bruchon mruknął ze złością i spojrzał na nią oczami, pełnymi wściekłości i przestרחu.

– Nie! Nie! Nie chcę! – zawołał – To rzecz święta. Nikt się tego nie dotknie, tylko ja!

Nie był w stanie już więcej powiedzieć, wysiłek ten wyczerpał resztę jego sił, usiłował raz jeszcze podnieść się, palce jego, zaciskające torbę kurczowo, rozwarły się i zwałił się całym ciężarem ciała na ławkę.

Pani Bruchon przeczekwała kilka sekund, wzruszona i wylękniona tym widokiem. Spojrzenie jej zamglone biegło raz po raz od stołu do drzwi pokoju, w obawie, aby drzwi te nie rozwały się nagle i zdawało się, że obecnie radaby się cofnąć przed konsekwencjami czynu, dobrowolnie wywołanego.

Ale stan ten trwał krótko.

Prawie natychmiast potrząsnęła energicznie głową, powstała szybko z krzesła, zamknęła drzwi na klucz i powróciwszy do leżącego bez świadomości męża, podniosła go silnym ruchem i zabrała torbę z pod jego głowy.

Natychmiast, bez straty czasu, zabrała się do dzieła.

Otrzymanym od pułkownika Roberta kluczem otworzyła zamek i gorączkowo przetrząsnęła zawartość torby. Nareszcie na samym dnie, pomiędzy innymi papierami odkryła dużą kopertę zalakowaną, noszącą pieczęć konsulatu francuskiego w Kalkucie.

Szybkim ruchem ukryła ją pod suknią, uprządkowała starannie papiery i teraz, pewna już, że nikt wiedzieć nie będzie o zuchwałym tym zamachu, otworzyła drzwi i głośno zawołała na właściciela winiarni.

Przybiegł natychmiast usługowy i uprzejmie uśmiechnięty.

Pani Bruchon ręką wskazała uspiętego na ławce męża.

– Biedny chłopak, wypił trochę za dużo – rzekła dobrodusznie – zdarza się mu to niekiedy, ale wystarczy, aby się dobrze przespał, aby odzyskał przytomność. Proszę więc pana, niech się on tu wyspi spokojnie, a kiedy się obudzi i będzie chciał powrócić do domu, da mu pan te pięć franków, które tu zostawiam.

Właściciel winiarni skłonił się grzecznie.

– Niech pani będzie spokojna. Za godzinę lub dwie wyeksponuję go do domu.

Pani Bruchon uregulowała rachunek i wyszła na ulicę.

Ale sen biednego woźnego nie trwał długo. Po jakimś czasie otworzył oczy i w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje. Ale, kiedy pomału pierwsze opary wina, obciążające jego mózg, rozwały się, zerwał się przerażony. Natychmiast zdał sobie dokładnie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdował i okrzyk wściekłości wybiegł z jego piersi.

Na krzyk ten wbiegł właściciel winiarni i ujrzał jak Bruchon z zaciśniętymi ustami i oczami, ciskającymi błyskawice gniewu, nerwowo oglądał swoją torbę i badał wytrzymałość zamku.

– Która godzina! – zapytał ostro – Proszę mi natychmiast powiedzieć, która jest godzina?

– Koło jedenastej. – odparł właściciel winiarni, niemile poruszony tym widokiem.

– A więc spałem!

– Zdaje się, ale to panu dobrze zrobiło.

– Jedenasta! – powtórzył rozpaczliwie Bruchon, przyciskając ręce do skroni.

Krokiem niepewnym postąpił ku drzwiom, lecz zachwiał się i musiał się oprzeć o ramę drzwi.

Właściciel winiarni poskoczył ku niemu i podtrzymał go.

– Jeżeli pan sobie życzy, sprowadzę powóz – zaproponował – pan jest jeszcze bardzo osłabiony.

Bruchon odepchnął go brutalnie.

– Proszę mnie zostawić. – odpowiedział – Nie potrzebuję żadnej pomocy. Jedenasta godzina! Jestem zgubiony! Mój Boże!

Przeciągnął ramię torby przez ramię, żywo otworzył drzwi i wyszedł na ulicę.

Uczucie przykrej rzeczywistości ogarnęło go nagle, zaczął sobie wszystko przypominać, ale wkońcu pocieszył się myślą, że nie wszystko jeszcze stracone, torba była nietknięta, a to rzecz najgłośniejsza, poza tem z opóźnienia wyłumaczył się jakoś, a w najgorszym razie zostanie ukarany.

Bruchon szedł dalej, objając się o ściany, potykając się, upadając nawet niekiedy, ale już